

20 wywiadów
na
20-lecie PKA

20
PKA



Dydaktyka i nauka - dualizm życia uniwersyteckiego?

Wywiad
z prof. dr. hab. Zbigniewem Marciniakiem
Przewodniczącym
Polskiej Komisji Akredytacyjnej
w latach 2005-2007

Czy teza, że badania naukowe i działalność dydaktyczna są równorzędnymi zadaniami uniwersytetu, jest zdaniem Pana Profesora prawdziwa? Jak pogodzić te dwa zadania?

Należy dobrze rozumieć słowo *uniwersytet*. Dzisiaj używa się go w odniesieniu do wszystkich kategorii szkół wyższych – i słusznie, gdyż zasługują na to. Klasyczne rozumienie uniwersytetu, tak jak to rozumiemy dzisiaj, przywodzi na myśl splot badań i dydaktyki. To jest model uczelni. Dzisiaj jest wiele szkół wyższych, które mają wyraźnie przesunięty ten języczek u wagi w stronę dydaktyki. Nie ma w tym nic złego, one kształcą bardziej na potrzeby rynku pracy. I mają to kształcenie sprofilowane bardziej zawodowo i mniej szeroko. Musimy zdawać sobie sprawę, że jednym z głównych zadań uniwersytetu jest odtwarzanie kadry naukowej, kształcenie następnych badaczy i to wymaga powiązania procesu kształcenia z badaniami. Zresztą nasza ustawa doskonale to odzwierciedla, gdzie kształcenie o profilu ogólnoakademickim ma być powiązane z badaniami, a na profilu praktycznym to powiązanie może być słabsze, ale też to, czego uczymy studentów, musi być oparte na wiedzy naukowej wytworzonej wcześniej.

Dlaczego dominującym profilem studiów w Polsce jest profil ogólnoakademicki (OA: 5725, PP: 3342 – źródło: Radon, stan na 2 grudnia 2021 roku)?

Jest to konsekwencja przeszłości. Gdybyśmy tworzyli te profile na czystym polu, to pewnie ułożyłoby się to inaczej. Pamiętajmy jednak, jak doszliśmy do obecnej sytuacji. Jeszcze nie tak dawno temu, przed rokiem 2000, mieliśmy w Polsce ok. 7% ludzi z wyższym

wykształceniem. Studia obejmowały tylko 10% najzdolniejszej młodzieży i byłoby grzechem nie kształcić ich na potencjalnych przyszłych badaczy. Ponieważ mniej więcej taki odsetek się do tego nadaje. Więc tak też kształciliśmy. Zmiana natomiast nie jest łatwa. Nawyki, tradycje żyją w nas. W związku z tym myślenie o tym, żeby dać naszym studentom jak najlepszą wiedzę, kieruje odruchowo osoby, które odpowiadają za kształcenie, w stronę poglądu, że studenci i przyszli absolwenci powinni mieć szerszą wiedzę naukową. To są pozytywne ambicje. Czasem objawia się to w sposób karykaturalny, np. jeśli osoby prowadzące studia lingwistyczne upierają się, że profil jest ogólnoakademicki, choć badaczy jest garsteczka, a studenci po wyjściu z uczelni są świetnie przygotowanymi fachowcami. Podobnie jest zresztą w wypadku studiów medycznych. Nie da się, oczywiście, leczyć bez rozwoju nauki, ale większość absolwentów tych studiów jest po prostu świetnymi fachowcami. Myślę, że to się z czasem znormalizuje, lecz rozumiem przyczyny takiego stanu rzeczy, głównie historyczne. Inaczej trudno byłoby to pojąć.

Czy dobrze rozumiem, że według Pana Profesora pokutuje przeświadczenie, że studia o profilu praktycznym są trochę gorsze?

Może nie tak, ale nie bardzo mamy do nich wyrobioną rękę i nie bardzo wiemy, jak je prowadzić. Bardzo dużo moich kolegów, uczonych, nie zdaje sobie sprawy z tego, że świetnie kształcą praktycznie, ponieważ umiejętności są przez studentów nabywane, a badania losów absolwentów pokazują, że ci dobrze się plasują na rynku pracy. Wydaje mi się więc, że jest to bardziej brak tradycji, a nie – że panuje takie przeświadczenie.

Przecież studenci wybierają takie studia. Gdyby takie przeświadczenie było dominujące, to wśród studentów byłoby wyraźne tego echo. To nie jest tak, że studentom bardziej zależy na tym, żeby studiować na profilu ogólnoakademickim, a nie praktycznym. Dla studentów chyba to nie ma żadnego znaczenia. Ważne jest dla nich, żeby wyszli z umiejętnościami, które pozwolą im dobrze funkcjonować na rynku pracy.



Jeśli studia są prowadzone na profilu ogólnoakademickim bardzo inteligentnie i szeroko, to człowiek, który je ukończył, dostaje bagaż wiedzy i umiejętności, które pozwolą mu szybko adaptować się do wielu różnych sytuacji na rynku pracy. Z kolei ci, którzy mieli dobre studia o profilu praktycznym, będą przygotowani do pracy w pewnej więzce zawodów, zwykle dużo węższej, ale to dobrze i tak powinno być w sytuacji, z którą mamy do czynienia nie tylko w Polsce – w dobie umasowienia szkolnictwa wyższego.

Jedyną zastrzeżenie, które do tego całego procesu mógłbym mieć, to to, że studia o profilu ogólnoakademickim są zbyt łatwe, czyli nie sygnalizują w wystarczający sposób uczniom zdolnym, żeby szli tym profilem, ponieważ dają dużo szerszą gamę

możliwości zawodowych, ale powinny też stawiać bardzo wyraziste wymagania, tak aby możliwe było przyswojenie bardzo szerokich treści kształcenia. Z punktu widzenia systemu zapewniania jakości temu elementowi bym się najbardziej przyglądał, czy to nie jest tak, że profil ogólnoakademicki jest trochę na wyrost obecny w pewnych miejscach. Ponieważ w takie studia muszą być zaangażowani prawdziwi uczeni. Mówi o tym ustawa, w której wskazano, że w kształceniu mają uczestniczyć badacze. Tak też się dzieje na najlepszych uniwersytetach na świecie.

Z drugiej strony jest pewien kłopot w prowadzeniu studiów o profilu praktycznym, gdyż prawo słusznie wymaga, aby uczestniczyli w tym praktycy. Niełatwo jest zachęcić praktyków do tego typu działań. Niektórzy się godzą ze względów prestiżowych. Trzeba również przyznać, że część tych osób, niezwykle doświadczonych, z ogromnymi umiejętnościami praktycznymi, nie ma zielonego pojęcia, jak uczyć. W związku z tym generują chaos. Trzeba więc szukać rozwiązań pośrednich. I to się dzieje na wielu uczelniach. Często w takich przypadkach uczelnie wyznaczają dwóch prowadzących dane zajęcia: pracownika akademickiego, który wie, co i jak się po kolei robi i jak powiązać te treści z treściami teoretycznymi przekazywanymi wcześniej, i praktyka, który często nie kojarzy, jaka podstawa teoretyczna w jego głowie funkcjonuje, ale wie, jak to wszystko działa, bo zna case'y i przykłady, a także potrafi powiedzieć, jak należy postępować. Dobre prowadzenie profilu praktycznego jest dużo trudniejsze niż profilu ogólnoakademickiego. Dlatego to też może być jedna z przyczyn, dla których to się jeszcze tak nie upowszechniło.

Efekty badań naukowych powinny być szybko i skutecznie upowszechniane szczególnie wśród studentów kierunków o profilu

ogólnoakademickim. Jak zdaniem Pana Profesora robią to uczelnie w Polsce?

Typowa forma to seminarium, gdzie badacze referują wyniki swoich badań i wyniki badań swoich kolegów ze świata. No, może poza tymi badaniami, które są ściśle związane z kontekstem narodowym. Dyscypliny uniwersalne tak właśnie postępują. Co więcej, studenci są w to zaangażowani. Student może poczuć znaczenie badań dopiero wówczas, gdy sam się do nich przymierzy. Miewamy takie sytuacje, gdy student referujący najnowsze prace dokonuje w nich korekt, albo wręcz odkrywa w nich błąd. I w ten sposób zaczyna prowadzić badania, które nierzadko kończą się publikacją. Myślę, że na uczelniach, które mają kadrę naukową na bieżąco uczestniczącą w badaniach prowadzonych na światowym poziomie, to jest bardzo naturalny proces. Nauczyciele akademicy tym żyją i na bieżąco dzielą się tą wiedzą – nawet na kursowych wykładach. Często zdarza się, że niedawno coś zostało odkryte i kiedy jest prezentowane – zwłaszcza jeśli wykładowca był zaangażowany w proces odkrywania – ma to dla studenta smak autentyczności, i tak to powinno wyglądać. Odtwarzanie wiedzy z książek to coś, co nie jest już tak fascynujące.

Reasumując, można powiedzieć, że zdaniem Pana Profesora upowszechnianie badań naukowych jest na uczelniach naturalnym procesem?

Tam, gdzie są prowadzone autentyczne badania i badacze są zaangażowani w proces kształcenia, tak się dzieje. Jeśli tylko wykładowca się dowie, że odkryto coś nowego, to nie powstrzyma się przed poinformowaniem o tym studentów. Bo właśnie na tym polega życie uczonego. Część kadry, nie można tego ukrywać i to nie jest nic złego, zakończyła proces badań ileś lat wcześniej i obserwuje. Na najlepszych

uczelniach upieramy się, żeby cała kadra uczestniczyła w seminariach badawczych, chociaż biernie. I nie trzeba ludzi do tego zmuszać, ponieważ oni wyrosli z tego pnia. Na najlepszych uczelniach zatrudnia się wyłącznie młodych ludzi, którzy mają potencjał badawczy. Oni się rozpędzają. Oczywiście ich losy później różnie się układają: jeden ma więcej szczęścia, drugi mniej; jeden się wcześniej wypali, drugi później, ale ten duch szacunku dla badań ciągle w nim żyje. Gorzej, jeżeli brakuje tych prawdziwych badaczy. Ja nie znam konkretnych przypadków, więc może patrzę na to zbyt pesymistycznie, ale można sobie wyobrazić sytuację, w której studenci mają serwowaną wiedzę odtwórczą, czyli wykładowcy jedynie cytują rzeczy, których się nauczyli kilkanaście lat temu. Nie jest to dobre zjawisko i studenci to widzą. To są ci studenci, którzy dzisiaj deklarują, że wolą zajęcia zdalne.

A które podejście dominuje? Twórcze czy odtwórcze? Czy powiązałyby Pan Profesor któreś podejście z kategorią naukową, jaką uzyskały uczelnie w ramach ewaluacji? Czy można na przykład zaryzykować tezę, że uczelnie z kategorią A+ to te, które aktywnie upowszechniają najnowszą wiedzę wśród studentów?

Ja myślę, że kategoria A+ nie ma z tym nic wspólnego. Zwłaszcza że A+ to jest już sama śmietanka. Na wszystkich kierunkach studiów (powiązanych z dyscyplinami), które są ocenione na B+ i wyżej, czyli które udokumentowały, że mają kadre, która prowadzi solidne badania, jest już OK. Nie musi to być koniecznie najwyższa kategoria, żeby prowadzić dobre studia na profilu ogólnoakademickim. Ale na takich kierunkach muszą być prowadzone badania

– to podstawowy warunek. Tak zresztą stanowi ustawa – czyli tam, gdzie istnieje możliwość prowadzenia studiów doktoranckich, moim zdaniem są warunki, żeby dobrze kształcić na profilu ogólnoakademickim.

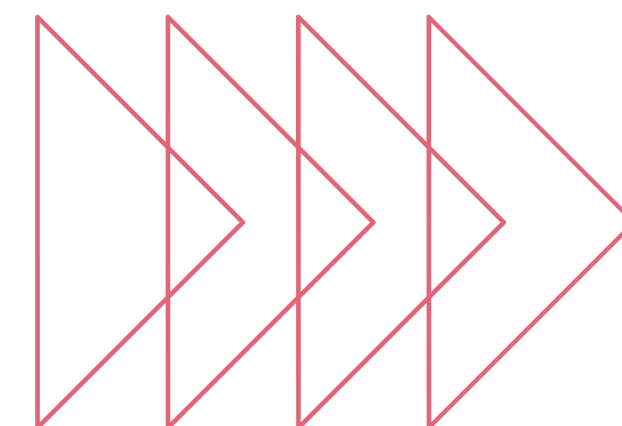
W jaki sposób wyniki badań naukowych wpływają lub powinny wpływać na podniesienie jakości kształcenia na uczelniach?



Podstawowym problemem kształcenia na każdym poziomie jest pobudzenie dobrej motywacji do uczenia się. To nie jest tak, że wykładowca wkłada wiedzę do głowy. On ma obudzić zainteresowanie i przekonać słuchaczy, że to wszystko jest łatwe i do opanowania, a także ciekawe i fascynujące oraz że warto się tego uczyć. To jest fundamentalny cel kształcenia.

Jest to coraz trudniejsze do realizacji i na poziomie oświaty, i na poziomie szkół wyższych, zwłaszcza że jest coraz więcej dystraktorów zajmujących uwagę osób uczących się. Osoba, która jest rzeczywiście zaangażowana emocjonalnie w proces badań, ma dużo łatwiejsze zadanie, gdyż przekazuje swój entuzjazm. Bardzo często kupuje tym uwagę studentów. Oni wówczas widzą, że mogą być podobni, zwłaszcza gdy widzą, że ktoś zajmował się czymś bardzo długo i rozwiązał, zbadał, a także że współpracował z kolegami z całego świata i wspólnie znaleźli odpowiedzi. To jest to, co młode pokolenie

może pociągnąć, bo jest autentyczne. Moim zdaniem przekonuje autentyczność. Natomiast gdy się powie, że w książce na stronie takiej i takiej jest napisane to i to, wówczas nie jest to takie autentyczne. Nadal jest to prawda, ale brakuje tego wabika, żeby człowiek chciał sercem związać się z tym, czego się uczy. Kiedy tej więzi nie ma, uczenie może być torturą. Student wie, że musi się nauczyć, bo inaczej nie zda albo go wyrzucą, ale żeby było coś więcej, to potrzeba kogoś, kto zaciekawi. To jest prawdziwa rola w kształceniu i autentyczny badacz ma w tej sytuacji łatwiej. Osoba, która nie bada, musi w sobie sztucznie wygenerować to nastawienie. Niektórzy robią to bardzo sprytnie, np. przez podziw dla innych uczonych. Mówią wówczas: ktoś znacznie większy ode mnie potrafił zrobić to i to, zobaczcie, jakie to piękne. To też działa. Wykładowcy, którzy uczą, muszą przekazywać ten entuzjazm. Bardzo wyraźnie pokazała to pandemia. Kiedy środki komunikacji się zawężyły, wtedy przekazywanie emocji stało się trudniejsze. Zaczął ujawniać się minimalizm po obu stronach. Wykładowca, zniechęcony tym, że nie widzi twarzy studentów, zaczął mówić (nie mówię o wszystkich, ponieważ byłoby to krzywdzące) niejednokrotnie bez przekonania. Z drugiej strony studenci wysłuchiwali tego jako gadanych notatek. To nie jest to samo i studenci nawet nie wiedzieli, że nie jest. Jeśli się nie doświadczy tego autentycznego kontaktu, to człowiek myśli, że to jest fajne, tak jak z YouTube. Ale to nie jest fajne i nie jest jak z YouTube. Jeśli wykładowca dowiaduje się z ankiet, że studenci woleliby wykład online, to powinien pomyśleć, czy nie zmienić zawodu.



Wspomniał Pan Profesor o entuzjazmie: że dobry wykładowca musi mieć entuzjazm. Zapytam teraz Pana jako doświadczonego wykładowcę jak uczelnia, wydział, ministerstwo, PKA, a może jeszcze ktoś inny mogą ten entuzjazm podtrzymywać i jakimi środkami? Zwłaszcza w sytuacji, w której wykonuje się ten zawód od dawna i na przykład od 10 lat prowadzi te same zajęcia.

Po pierwsze, powinien sobie uświadamiać, że jest to jego obowiązek, i koniec. Nie kupuję argumentu, że człowiek się zmęczył, znudził. To co powinien zrobić aktor, który setny raz gra sztukę dla widzów? On za każdym razem gra dla innych widzów. Wykładowca też gra dla widzów i jeżeli ich lekceważy, bo jest zmęczony, to nie ma co robić na uczelni. Trzeba go jak najszybciej eksmitować. To jest teoria.

Co zaś zrobić, żeby zdarzało się to jak najrzadziej? Moim zdaniem stosować płodozmian. To jest patologia, jeżeli człowiek 10 lat uczy tego samego przedmiotu. To nie powinno mieć miejsca. Na moim wydziale, na kierunku matematyka, to się nie zdarza, żeby ktoś prowadził 3 lata z rzędu te same zajęcia. Po prostu nie wolno. Byłem dyrektorem instytutu matematyki i zakładaliśmy, że z zasady każdy wykładowca ma potrafić przeprowadzić każde zajęcia na pierwszych dwóch latach studiów. A tych zajęć jest sporo różnych. Dlatego trzeba ciągle zmieniać obsadę. Każdy w takiej sytuacji wnosi coś nowego,

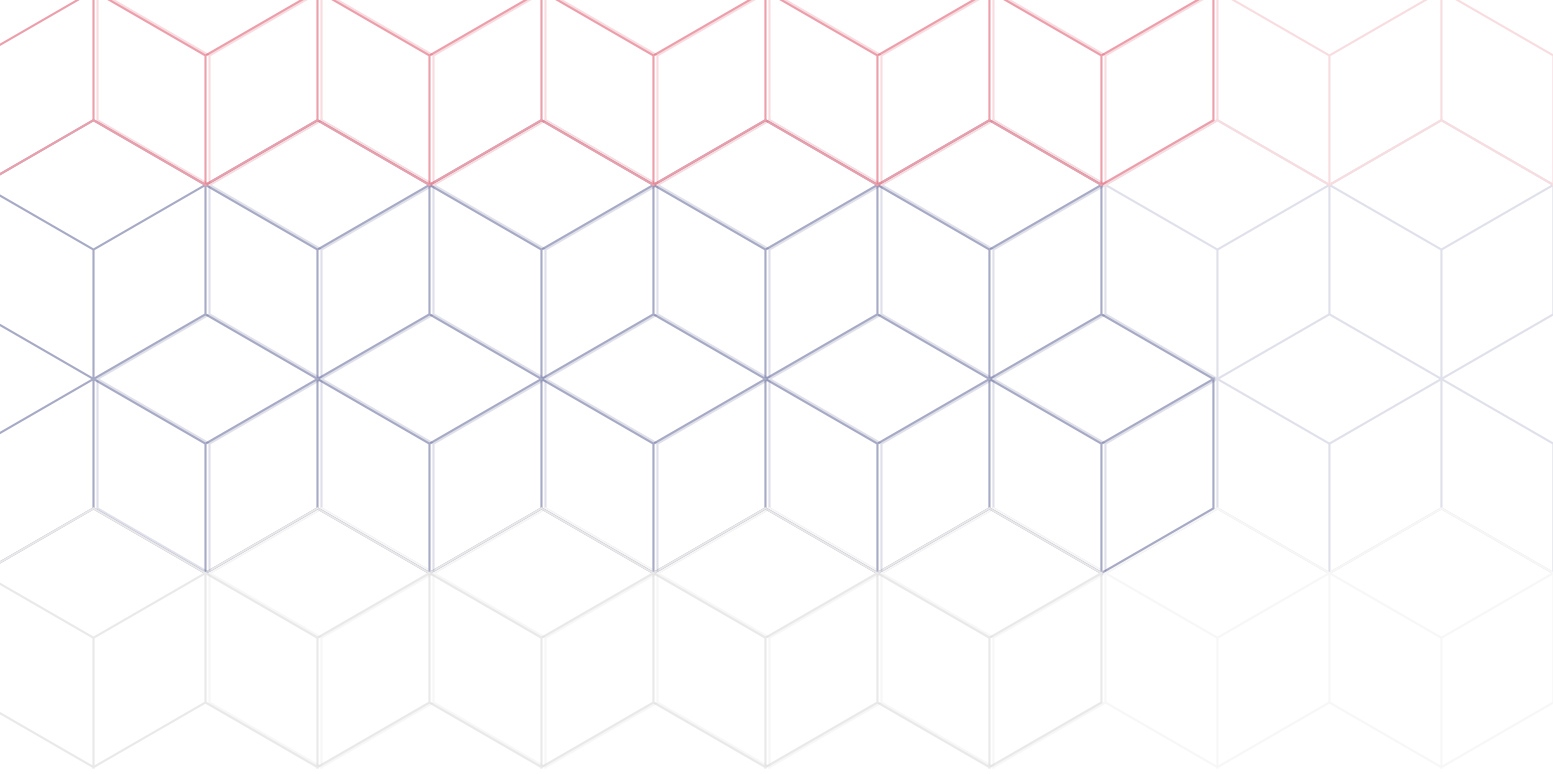
zwłaszcza gdy przygotowuje się do tych zajęć. Jeśli jest dobrym uczonym, to sobie z tym poradzi, studenci też. To jest zabieg, który powinny stosować ciała odpowiedzialne za dydaktykę, a PKA powinna o to pytać: czy to nie jest tak, że jest taka stabilizacja, że od 10 lat prowadzi się te same zajęcia? Człowiek, który potrafiłby przez 10 lat z entuzjazmem uczyć tego samego, to jest raczej wyjątek niż reguła. Wówczas wypalenie jest naturalne. Jeśli miewałem sytuacje, że prowadziłem dwie grupy ćwiczeniowe w jednym roku, zawsze w czasie zajęć dla tej drugiej grupy miałem więcej czasu, nie wiem dlaczego. Człowiekowi zdaje się, że już coś powiedział, a to jest z krzywdą dla tej drugiej grupy. Uczenie jest bardzo trudną sztuką, ponieważ trzeba mieć bardzo dużą samoświadomość tego, co się już powiedziało, a co zostało w głowie i nie zostało powiedziane. Takie rzeczy przychodzą z doświadczeniem. Tego nawet trudno nauczyć. To trzeba podpatrzeć i przyglądać się studentom, obserwować ich miny, trzeba widzieć, kiedy nie rozumieją, a kiedy się nudzą, i reagować na bieżąco. Analiza ankiet studenckich daje zawsze obraz sytuacji. Studenci dostrzegają osoby, które uczą z zaangażowaniem, i osoby, które po prostu uczą. Kolejne roczniki się ze sobą komunikują i widać to po wyborach studentów, kiedy mogą sobie wybrać wykład czy ćwiczenia.

Mówi Pan Profesor o sytuacji, która może dotyczyć dużych uczelni, dysponujących liczną i doświadczoną kadrą, gdzie zawsze znajdzie się ktoś, kto może poprowadzić dane zajęcia. A co z jednostkami z mniejszych miejscowości, ewentualnie z uczelniami niepublicznymi, które nie mogą sobie pozwolić na zatrudnienie dodatkowej kadry ze względów finansowych?

Pierwsza odpowiedź, dość bezczelna, brzmi: w Polsce mamy za wiele uczelni. Można ten problem rozwiązać, gdyby skumulować tę kadrę.

Ale rozumiem, że jest wartość w istnieniu tych państwowych szkół zawodowych, które przybrały dziś trochę inną nazwę. I to jest wartość sama w sobie. Wydaje mi się, że tam ten entuzjazm też funkcjonuje, ale na innej zasadzie. Obserwowałem studentów na PWSZ-ach i zauważyłem, że w dużej mierze ten entuzjazm jest generowany przez studentów, którzy są bardzo często pierwszym studium pokoleniem w swoich rodzinach. To zaangażowane, ponieważ sięgnęli po coś wielkiego, jest autentyczne. I to być może rekompensuje tę słabszą kadrę, albo może inaczej: kadrę nie tak wyścigową. Mówiąc o słabszej kadrze, nie chcę powiedzieć, że tamtejsi wykładowcy są mniej zaangażowani czy gorzej wykonują swoją robotę. Po prostu mieli inną ścieżkę naukową i wylądowali na takiej, a nie innej uczelni często z powodu patriotyzmu lokalnego. Często tak jest, że człowiek chce wrócić tam, gdzie się urodził, i tam przekazywać swoją wiedzę współmieszkańcom. Oni zasługują na szacunek, bo wykonują trudniejszą pracę. I znowu można to zobaczyć w studenckich ankietach, wskazujących, jak studenci to odbierają.

Na uczelniach niepublicznych i wszędzie tam, gdzie studenci płacą za studia – nie ukrywajmy – płacą dlatego, że przeważnie nie dostali się na studia bezpłatne. To jest podstawowa przyczyna. W Polsce jest niewiele uczelni niepublicznych, które stanowią pierwszy wybór, ponieważ w opinii przyszłych studentów, często słusznej, jednostki te gwarantują uzyskanie lepszej wiedzy niż uczelnie publiczne.



Takich uczelni jest kilka, ale generalnie na uczelnie niepubliczne trafiają kandydaci gorzej przygotowani do studiów. Dlatego pochylenie się nad stanem ich przygotowania jest niezwykle ważne. Często potrafi to zrobić lepiej osoba, która uczy takie osoby, niż wyścigowy uczonec. Gdyby do niepublicznej szkoły w małej miejscowości, gdzie przyszli maturzyści, których wyniki nie były tak fantastyczne, przyszedł taki topowy wykładowca, to zakładałby, że oni wszystko umieją na piątkę. On by leciał dalej, myśląc, że oni wszystko rozumieją, i pogubiłby ich wszystkich. Pojawiałyby się frustracja po obu stronach i poczucie zawodu, zupełnie niepotrzebne. Studenci z takich uczelni też zasługują na uzyskanie dyplomu szkoły wyższej. Tylko trzeba ich odpowiednio uczyć. Dotykamy tu kolejnej kwestii: nie możemy udawać, że mamy takich samych studentów jak wówczas, kiedy studiowało tylko 10% społeczeństwa. Mamy studentów o bardzo zróżnicowanych możliwościach, ale o wielkich chęciach. Trzeba te chęci skapitalizować i nauczyć studentów takich rzeczy, których ci są w stanie się nauczyć, i w taki sposób, żeby byli w stanie to pojąć. Wymaga to od kadry szkół wyższych dużo większego wysiłku dydaktycznego niż dawniej, gdy spokojnie można było zakładać, że jest to najzdolniejsza możliwa młodzież, na którą zresztą zawsze narzekaliśmy, że niczego nie umie. Generalnie nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak to może być.

Jest jeszcze jeden czynnik, o którym warto pamiętać:



wszystkie badania międzynarodowe pokazują, że mniej więcej 70% sukcesu w edukacji w szkolnictwie wyższym oraz szkolnictwie średnim tłumaczy się statusem społeczno-ekonomicznym rodziny. To, co się wyniosło z domu, czy w domu były książki, czy się w domu rozmawiało o różnych rzeczach, przekłada się później na to, czy studiuje się łatwo, czy trudno.

Jeśli się nie było w takiej rodzinie, to trzeba ten dystans nadgonić samemu. Jest to bardzo trudny proces. Uczelnia musi jakoś prowadzić takich studentów, zdając sobie sprawę z ich sytuacji. To też jest trudne.

Musi jednak niepokoić fakt, że na wszystkich uczelniach rośnie liczba studentów potrzebujących pomocy psychologicznej.

Powiedział Pan Profesor, że na uczelnie w mniejszych miejscowościach trafiają studenci gorzej przygotowani lub tacy, którzy nie dostali się na studia na uczelniach prestiżowych. Czy jednak nie wydaje się Panu Profesorowi, że taki wybór może być świadomy i wynikać na przykład z sytuacji finansowej kandydatów na studia? Same studia mogą być bezpłatne, ale utrzymanie się w dużym mieście może być dla wielu kandydatów barierą niemożliwą do pokonania. W tych okolicznościach decyzja o wyborze uczelni w mniejszym ośrodku nie musi wynikać stąd, że dana

osoba nie dostała się na studia na prestiżowej uczelni.

Jest w tym 100% racji. Jest to również niezwykle decydujący czynnik, coraz bardziej decydujący, zwłaszcza że te koszty rosną choćby z powodu inflacji. To jest prawda. Ja patrzę w dłuższej perspektywie. Kiedy w Polsce zaczęło się umasowienie, to jak pokazują dane, rodziny stawały na głowie, żeby dzieci się kształciły. W 2005 roku, kiedy nastąpił boom, budżet państwa wykladał na szkolnictwo wyższe ok. 9 mld złotych rocznie. A rodzice studentów studiujących 4,5 mld – taki był wysiłek, by dzieci się kształciły. Warto dodać, i jest to ogromna wartość naszego systemu, że jest absolutna przejrzystość, jeżeli chodzi o możliwość podjęcia studiów: abstrahując od warunków materialnych, powszechna matura, która mierzy dokładnie tak samo każdego – zarówno osoby z najmniejszych miejscowości, jak i mieszkańców wielkich miast. Uwalnia ona od subiektywizmu egzaminatorów, poszczególnych uczelni, daje klarowny obraz i wydobywa osoby bardzo zdolne, niezależnie od tego, skąd one są. Ten system zachęca, żeby takie osoby aplikowały na dobre uczelnie. Wtedy jednak pojawia się bariera kosztowa. Czasem całe rodziny się składają, żeby umożliwić krewnemu podjęcie studiów. Bardzo często też studenci podejmują pracę właśnie z tych powodów. Mam więc ogromny szacunek do tych ludzi i ich rodzin, że ten wysiłek wykonują. Jednak twierdzenie, że w mniejszych miejscowościach są tylko osoby słabsze, jest nieprawdziwe. Trzeba widzieć obie strony medalu. Ci, którzy mieli słabsze matury i nie dostali się na studia, to jest jedna strona medalu, a druga to ci – nawet z dobrymi maturami – których nie stać na studiowanie w dużym mieście i którzy powinni być naszymi wyrzutami sumienia. Tych najlepszych należy wyciągnąć do tych dużych miast, ponieważ tylko tak spotkają ludzi tak samo zdolnych jak oni, a nawet zdolniejszych. Bo otoczenie,

w którym się studiuje, również ma kapitalne znaczenie. Wobec tego szkoda takiego bardzo zdolnego studenta, którego nie stać i który pójdzie w otoczenie ludzi słabszych od siebie. Koledzy bardzo ciągną do góry. To studenci *de facto* wyznaczają poziom zajęć: pytaniami, zaciekawieniem, wyborami. To jest bardzo złożony problem społeczny i warto przy tej okazji podjąć temat właściwej pomocy materialnej. Ta pomoc materialna powinna być na takim poziomie, żeby student mógł się utrzymać w dużym mieście, nie pracując. To nie jest zbyt wielki wysiłek dla kraju takiego jak nasz.

Czyli uważa Pan Profesor, że państwo powinno podjąć wysiłek, by tych najlepszych kandydatów ściągnąć na duże uczelnie, tak aby mogli później podjąć pracę naukową? Jestem jednak w stanie wyobrazić sobie dobrego studenta, który nie do końca widzi siebie jako badacza, dlatego świadomie wybiera studia w mniejszej miejscowości, na których będą go uczyć praktycy i gdzie – np. poprzez taką współpracę lub praktyki studencie – będzie mógł rozwinąć swoją karierę zawodową.

Zgoda. Ja się z całym szacunkiem odnoszę do wszystkich wyborów. Taka argumentacja również mnie przekonuje. To nie jest tak, że człowiek wybiera, że będzie badaczem lub nie. Znam bardzo wiele osób, które były bardzo zdolne i nie dały rady być badaczami. Do takiej pracy trzeba mieć odpowiednie cechy charakteru. Nie wystarczą potencjalne zdolności, które objawiają się poprzez obiektywne wybory. Trzeba być taką wańką-wstańką, bo to przeważnie nie wychodzi. To nie jest tak, że siadam, podwijam rękawy i produkuję publikację. To jest straszna mordęga. Jeśli wyjdzie, to jest wielkie szczęście. Ja więc rozumiem, że można świadomie

zrezygnować z takiego życia. Mam wielu znajomych, którzy nie bardzo wiedzą, na czym polega praca matematyka i próbują oceniać moją pracę, pytając, ile godzin w tygodniu uczę. Mówię, zgodnie z prawdą, że 6 czy 7. Oni na to: ale ci fajnie. Tylko że mnie co roku rozliczają z tego, czy coś wymyśliłem. I to jest mój obowiązek. I wówczas najczęściej mówią, że w takim razie wszystko jest w porządku. Gdy się niczego nie wymyśli, to można dojść do wniosku, że się do niczego nie nadaje. To bardzo trudny fach.

Nie dziwię się, że wielu młodych ludzi, gdy zobaczy z bliska, na czym to polega, wybiera co innego. Mówiąc o wyławianiu tych najlepszych, mam na myśli to, że czasem mamy perełki i byłiby to wybitni uczeni, gdyby byli uczeni w odpowiednim środowisku. Takim nie warto odpuścić. Są zachęty. Można mieć przecież stypendium od pierwszego roku. Dlatego to było tak pomyślane, żeby takie osoby jednak nie odpadły. Są przepaści między poziomami wiedzy, jakie można osiągnąć w poszczególnych miejscach na tym samym kierunku studiów. I jeśli ktoś ma to coś i zapał, by pracować twórczo, to powinien bez wahania jechać w najlepsze miejsce. Ale wiem, że inni będą woleli spokojne życie za dobre pieniądze. To jest model do przyjęcia, zwłaszcza że na uczelniach nie zarabia się wielkich pieniędzy. Ma się jednak satysfakcję innej natury.

Każda ścieżka, która prowadzi do szczęśliwego życia, jest dobra.

W takim razie, co zdaniem Pana Profesora należy zrobić, by ci najlepsi wybierali pracę badacza?

Trzeba ich łowić na różne wędki. Takim sposobem są olimpiady przedmiotowe. Wówczas młodzi ludzie

czują smak odkrywania, bo tam trzeba robić małe odkrycia.

Na studiach z kolei trzeba się nimi dobrze opiekować i wtedy z części z nich wyrosną dobrzy badacze, a część będzie robiła inne rzeczy. Czasem ktoś się zapowiada na dobrego badacza, ale decyduje się z powodów materialnych na to, żeby pójść gdzie indziej. Ja miałem takiego doktoranta, naprawdę wybitnego, kilka lat temu, który zrobił bardzo dobry doktorat z matematyki, publikację również miał w bardzo dobrym czasopiśmie. I dostał propozycję pracy w consultingu za trzy razy tyle, ile wynosi pensja profesora. Przeszedł do mnie z tym dylematem i ja mu powiedziałem, że nigdy nie dostanie na uczelni takich pieniędzy. Dodałem jednak, że są trzy rzeczy które straci, wybierając karierę w biznesie: 1) będzie robić to, co mu każe szef, a nie to, co on chce robić, 2) jego szef pewnie będzie głupszy od niego, bo to był wybitnie zdolny człowiek, oraz 3) gdy będzie dokądś jechał, to będzie reprezentował firmę, a nie siebie. Ja zawsze reprezentuję siebie. Wrócił do mnie po dwóch latach i powiedział, że wszystko się sprawdziło, ale pieniądze były dobre. Dzisiaj jest dyrektorem banku w Londynie, chociaż wcześniej nie studiował finansów. Czy jest szczęśliwy? Nie wiem. Każdy ma swoją receptę na szczęście i bardzo możliwe, że on jest tam szczęśliwy i się spełnił. Nie zadaję mu tego pytania. Ja bym takiej drogi nie wybrał. Może dlatego, że mnie się udało w nauce. To było jednak ryzyko: nadam się czy nie?

Zgodnie z ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce ocena kompleksowa polega na ocenie działań na rzecz zapewniania jakości kształcenia na uczelni, a przeprowadzając ją, bierze się pod uwagę w szczególności skuteczność działań na rzecz zapewniania

jakości kształcenia na uczelni we wszystkich dziedzinach, w których prowadzone jest kształcenie. Jaki w świetle tych założeń powinien być związek oceny kompleksowej z badaniami i działalnością naukową?

Prawda o ocenie jakości kształcenia jest taka, że jedyną instytucją zdolną do zadbania o tę jakość jest sama uczelnia. Choćbyśmy stawali na głowie, żadna instytucja zapewniania jakości kształcenia tego za uczelnie nie zrobi. Biorę w nawias wyrażenie *zapewniania jakości*, ponieważ każda instytucja działająca na rzecz kształcenia powinna uciekać od żargonu. Inaczej to się trywializuje i rutynizuje. To jest bardzo trudne, bo skoro jakość buduje się na uczelni, to uczelnia musi wymyślić, jak to będzie budowane, a nie oczekiwać instrukcji z zewnątrz, np. w formie przepisów. Musi to być autentyczne. Najtrudniejsza jest tutaj pozycja Polskiej Komisji Akredytacyjnej, która czuje się odpowiedzialna, by o tę jakość dbać, a z drugiej strony musi być na tyle odważna, by pozwolić uczelniom eksperymentować. Ja wiem, że cała instytucja podpisałaby się po tym zdaniem, ale poszczególni członkowie czy eksperci to już nie bardzo. Znam wiele sytuacji, w których taki ekspert jedzie i zaczyna się mądrzyć: u mnie się tego uczy inaczej i tak jak tu jest niedobrze. To jest najpoważniejszy problem Komisji, ponieważ trudno przewidzieć, jak się będą zachowywać ludzie biorący udział w procesie. Ale kładłbym nacisk na to, że proces oceny związku badań z oceną jakości ma być prowadzony otwarcie. To znaczy należy słuchać uczelni, co ma do powiedzenia. Nie należy domagać się żadnych kwitów. To nie protokoły posiedzeń komisji ds. zapewnienia jakości budują jakość. To jest względne. Należy ludziom patrzeć w oczy i pytać: jak to robicie? Należy tego słuchać i popularyzować to jako dobre praktyki. Jeśli się nie daje wiary w to, co się słyszy, należy opowiadać o tym, co się słyszało gdzie indziej.

W praktyce PKA sytuacji, w których jakość jest ewidentnie naruszana, nie jest tak wiele. Starania są, czasem brakuje czasu, czasem środków, a czasem kadry.

Ja tę ocenę kompleksową rozumiem jako przesunięcie odpowiedzialności za jakość na same uczelnie. Będziemy patrzeć ogólnie, jak uczelnia radzi sobie z tymi sprawami. Konstruowanie jakości, dbanie o jakość... Nie użyję określenia *zarządzanie jakością*, bo to jest nadużycie języka ekonomistów; gdy chodzi o tak delikatne sprawy, nie wolno używać określeń ekonomistów, bo one są nieadekwatne. I o żadnym zarządzaniu być mowy nie może. To jest troska o jakość kształcenia. To jest współpraca ze studentami. Autentyczność. Decydujące w tym względzie powinny być głosy studentów i samorządu, jak oni to odbierają. Czy im się dobrze studiuje, czy nie? Jakość powinna być podporządkowana potrzebom studentów. Czyli wracamy do tego samego tematu – trzeba wiedzieć, kogo się uczy i jak się uczy. Same zabiegi formalne nie wystarczą. Trzeba próbować mierzyć autentyczność tych wysiłków. Na ile to, co się wymyśliło, daje korzyści studentom? Czy oni wychodzą po studiach na rynek pracy zadowoleni, przekonani, że są dobrze przygotowani? Przy tym na rynku pracy obserwuje się przedziwne zjawiska. Słyszałem ostatnio pewne osoby z działu HR, które mówiły, że żadne studia nie są potrzebne, że oni przygotowują człowieka do pracy, byle był zdolny. Nie wiem, jakie oni studia ukończyli, ale to ewidentnie były stracone pieniądze.

Wyobrażam sobie duże uczelnie, które wciąż mają zakodowane, że podstawową jednostką organizacyjną jest wydział, i pomiędzy wydziałami pojawiają się duże różnice w organizacji pracy. Tymczasem w świetle założeń ustawy badana jest cała uczelnia.

Jak zatem uwzględnić w ocenie kompleksowej różnice pomiędzy poszczególnymi wydziałami? I jak to można zorganizować?

Należy to rozpoznać bojem. Oczywiście jest, że na wielu uczelniach prowadzi się kierunek o tej samej nazwie w paru miejscach i może on być różnie prowadzony. Natomiast ocena kompleksowa może przynieść podobny efekt jak skonstruowanie rad dyscyplin. Po uczelniach w różnych kątkach pochowani są uczeni, którzy robią to samo. I teraz rady dyscyplin mają to ogarnąć. I to się dzieje. Nie ma konfliktów. Ci, którzy są słabsi, podciągają się i dostosowują do tych silniejszych. I to się integruje. Wydaje mi się więc, że kiedy przyjedzie PKA i powie, że teraz będzie oceniała łącznie te kierunki, to uczelnie wcześniej wykonają wysiłek wspólny, żeby zobaczyć, co się dzieje. Będą pisać raport, więc – myślę – będzie to ozdowieńcze dla wielu uczelni. Wymyślenie tej oceny spowoduje integrację tej oceny z punktu widzenia całej uczelni. Oni będą wiedzieli, że będą oceniani wspólnie i że nie dostaną oceny wyróżniającej, jeżeli jeden z tych fragmentów kształcenia będzie kulał. To będzie oczywiście dla każdego. Dlatego zaczną to robić podobnie na całej uczelni, a może wezmą „najsmaczniejsze kąski” ze wszystkich tych modeli i zrobią coś fantastycznego dla wszystkich, np. pozwalając na mobilność studentów między potokami studiów. Te wszystkie rozwiązania stwarza idea oceny kompleksowej. Ja bym ją traktował raczej jako bodziec do tego, żeby to się przepoczwarzyło, niż jako fotografię stanu rozproszenia, który teraz dominuje. Ponieważ w czasie takiej oceny padną pytania, na które nie warto odpowiadać indywidualnie, to nie będzie pięć różnych wizytacji, ale jedna. Dlatego pracownicy będą musieli usiąść koło siebie, chociaż często tego nie robili, bo wcześniej ich drogi się rozeszły. Przecież wydziały dzieliły się często dlatego, że profesorowie nie mogli się dogadać.

Wydaje mi się, że jest to szansa, ale wiele zależy od działań PKA. Nie wątpię, że te działania będą należyte. Ważne jest to, żeby poszedł przekaz, że nas nie interesuje, co robicie w tym czy w tamtym zakątku waszej uczelni, jak wy kształcicie na danym kierunku. Jeśli będą wyraziste potknięcia na którymś z tych podpól, to jest zarzut do całości. Czemu ci studenci mają 200 godzin w laboratorium, a ci inni na przykład tylko 50 godzin? Czy wyście to zdiagnozowali, że oni potrzebują mniej godzin na tym samym kierunku? Wówczas to nie są porównania z inną uczelnią, ale z tą samą wewnątrz. Zmusi to do rozmowy i wytłumaczenia się z tych różnic. Argumenty, jakie mogą padać, to jedynie zadowolenie studentów i efekty uczenia się. Muszą argumentować, że jeden model kształcenia daje lepsze efekty niż inny, a to sprzyja jakości. Ocena kompleksowa ma więc zmusić do rozmowy. Jestem pełen nadziei co do tej idei, chociaż to trudne przedsięwzięcie.

Czyli ideą stojącą za oceną kompleksową była integracja uczelni?

Tak, dokładnie tak. Taka sama jak w wypadku ewaluacji uczelni w ramach dyscyplin. Żeby zintegrować wysiłki uczelni wokół badań czy kształcenia. Bo studenci dostają dyplom uczelni, a nie wydziału. Dlatego musi to być robione z pełną świadomością tego, jak to jest robione na poziomie uczelni. Prywatyzacja kształcenia i badań, która miała miejsce w strukturze wydziału, powodowała, że z poziomu uczelni nikt nie przyglądał się dokładniej temu, jak to się dzieje. Teraz to może ulec zmianie. I finansowanie uczelni zależy od tego, jak to się dzieje w dyscyplinie. Podobnie będzie w przypadku oceny kompleksowej. Moim zdaniem jest to ruch we właściwym kierunku, dający ogromne szanse.

Słuchając Pana Profesora, odnoszę wrażenie, że ocena kompleksowa jest coraz większym wyzwaniem, ponieważ mówi Pan na przykład o zejściu na poziom badania jakości na poszczególnych kierunkach, a nie tylko o samym zarządzaniu jakością. A na tych największych uczelniach może być nawet 200-300 różnych kierunków studiów. Taka wizytacja nawet z punktu widzenia logistyki będzie niezwykle trudnym przedsięwzięciem.

To trzeba inteligentnie pakietować. Dzisiaj mamy ileś nazw kierunków – ponad 1500? Dlatego trzeba spojrzeć na to, czego się człowiek uczy. Wyjdzie, że na przykład to jest kierunek ekonomiczny, niezależnie od tego, jak się nazywa. I studenci uczą się mikroekonomii, makroekonomii, trochę finansów, więc wydaje mi się, że da się to pakietować. To jest również pole do dyskusji, czym się różnią poszczególne kierunki, czemu uczelnia uznała, że musi otworzyć taki kierunek, skoro ma podobny, o tych samych treściach programowych. Niech się uczelnie wytłumaczą. Niech powiedzą, jaka jest specyfika poszczególnych kierunków, czym się kierowały i czym przyciągają. To jest również rozmowa o autentyczności kształcenia. Jest to bez wątpienia niezwykle trudne wyzwanie. Oczywiście decydujący głos powinien należeć do Komisji. Komisja nie powinna sobie za wcześniej wiązać rąk, przyjmując na przykład uchwałę o 30-punktowym harmonogramie, jak to się odbywa, bo ciężko się z tego wycofać. Najlepiej więc powołać zespoły ekspertów i niech one rozpoznają sprawę bojem. Bardzo mocno należy się również oprzeć na ekspertach studentach. Wówczas można będzie zobaczyć, na co należy zwracać uwagę. I dopiero po wyciągnięciu wniosków z tego zorganizować debatę, np. z udziałem KRASP

żeby podkreślić odpowiedzialność uczelni, a przy tym podyskutować, jak należy dokonywać oceny kompleksowej. Kluczowa jest debata z uczelniami, gdyż to powinien być tekst nr 1 PKA: To wy odpowiadacie za jakość kształcenia. My tylko się przyglądamy i porównujemy. Nie będziemy wam mówić, jak to dobrze robić, to wy powinniście to wiedzieć. My widzimy, gdzie może robią to lepiej, dlatego z chęcią podpowiemy. To jest rola PKA. Jest to bardzo zaciemnione przez to, że PKA może wydać ocenę negatywną, która wiąże się z nieprzyjemnymi konsekwencjami, sama Komisja wciela się zaś wówczas w rolę sanepidu.



PKA ma ogromną rolę do odegrania i ogromny autorytet. Przecież PKA jest zaakceptowana przez środowisko i ma prawo mówić rzeczy, które nie są zapisane w prawie.



W opinii PKA może być, że coś jest niedobre, bo... Mieliśmy tego typu sytuacje ze dwa lata temu, kiedy to studia medyczne powstawały w różnych miejscach i nagle się dowiedzieliśmy, że anatomii uczy się na rycinach, bo nie ma żadnej pracowni anatomicznej. Pamiętam rozmowę z prof. Bożeną Czarkowską-Pączek, którą przekonywaliśmy, że choć w standardzie kształcenia lekarzy nie ma mowy o pracowni anatomicznej, to PKA może wydać ocenę negatywną, ponieważ brakuje takiej pracowni. Autorytet tej instytucji całkowicie wystarcza, by powiedzieć, że takie studia nie mogą być prowadzone bez takiej pracowni. Jest to oszukiwanie studentów. Ja wiem, że Komisja unika tego typu sytuacji, ponieważ jest to kłopot. Najłatwiej jest powołać się na jakiś przepis, który został złamany. Wówczas uzasadnienie jest jasne i proste, ale jeżeli tak miałyby to wyglądać, to w Komisji niepotrzebni byłiby uczeni. Oni są w Komisji po to, by odważnie stwierdzić, że coś wygląda gorzej niż w każdym innym miejscu, a ponadto umieją powiedzieć swoim rozmówcom bez wstydu, że można by coś poprawić. Gdyby przyjechał urzędnik i powiedział do rektora: u pana to nie bardzo, to inna sprawa, ale gdy przyjeżdża wybitny profesor i mówi: wie pan, panie kolego, ale w Krakowie, we Wrocławiu czy Poznaniu w tym miejscu dają studentom więcej, to wówczas taki rektor się nie obrazi, tylko zacznie się zastanawiać. To jest niezwykle ważna rola PKA, która ma swoją historię i świetnie się rozwija. Moim zdaniem opinie PKA cieszą się szacunkiem w środowisku akademickim.

W jakich obszarach, zdaniem Pana Profesora, ewaluacja jakości kształcenia może, powinna lub musi uwzględniać prowadzoną przez uczelnie działalność naukową?

Trzeba pokazać, że autentyczni uczeni są zaangażowani w proces kształcenia. Jednak zamiast ustalania reguł w tym aspekcie zbierałbym dobre

dobre praktyki. Nie można przykładowo wymagać, by student publikował z profesorem, bo to jest w dużej mierze przypadek. Jeżeli jednak takie sytuacje się zdarzają, to znaczy, że w tym obszarze jest dobrze. I można stawiać taki przypadek za wzór. Również świadczy o tym poziom prac dyplomowych.

Nie szukałbym tutaj nowych miar, ale zachęcał do tego, by stworzyć specjalną nagrodę PKA za wyjątkowo dobre powiązanie badań naukowych z kształceniem. Być może warto zacząć przyznawać certyfikaty doskonałości kształcenia w kolejnej kategorii, która uwzględniałaby powiązanie badań naukowych z dydaktyką. Można podać bardzo dużo przykładów, choćby łaziki marsjańskie. To są rzeczy, które PKA może dostrzec, ponieważ nie wszystkie uczelnie podchodzą do tej kwestii z entuzjazmem, często każąc studentom szukać dofinansowania gdzie indziej. Ja przez parę lat dzieliłem to dofinansowanie ministerialne, więc pamiętam, że bywało różnie. Konieczne jest więc dostrzeżenie, że to walor kształcenia, bo to umacniałoby kompleksowość.

Gdyby mógł Pan Profesor podjąć strategiczną decyzję dotyczącą rozwoju zewnętrznego systemu zapewniania jakości kształcenia w Polsce, to jaka byłaby to decyzja?

Odpowiem ostrożnie: nie zepsuć tego, co już jest. Warto pamiętać o jednej rzeczy i nasz system zapewniania jakości kształcenia powinien być z tego dumny. Jestem teraz członkiem komitetu doradczego ukraińskiej komisji jakości akredytacyjnej. Kiedy ona się tworzyła, zostałem zaproszony na gremialne posiedzenie rektorów. Zaprosiła mnie ówczesna ukraińska minister szkolnictwa wyższego. Zadano mi wtedy mnóstwo pytań, ale jedno było kluczowe: czy każda uczelnia w Polsce ma obowiązek poddać się ocenie jakości kształcenia? Zapadła wówczas cisza, bo widać było wśród tych rektorów pewien opór.

Ja wtedy powiedziałem z dumą, że każda musi, ale nie dlatego, że ktoś ją zmusza, przeciwnie: same uczelnie chcą, żeby tak było.



Nasz system oceny jakości kształcenia powstał spontanicznie i społecznie. Najpierw była komisja medyczna, później uniwersytecka, a później inne branżowe. Na bazie tych doświadczeń powstała Państwowa Komisja Akredytacyjna. To była inicjatywa największych uczelni, które powiedziały, że z własnej woli poddadzą się ocenie. To jest coś, z czego możemy być dumni, ponieważ całe środowisko akademickie powiedziało, że to nie jest nic złego, że będą nas oceniać.

W różnych krajach było różnie. W Austrii największe uczelnie na początku nie chciały poddawać się ocenie, gdyż uważały, że są ponad to i wiedzą, jak uczyć. Jest to proces dojrzewania, a my podeszliśmy do tych spraw w sposób niesłychanie dojrzały. Dlatego nasz system jest dobry. Ja mierzę jego sukces stopniem akceptacji społecznej – uczelnie akceptują decyzje Komisji. Dlatego nie można tego zepsuć. Należy również pozostawić inicjatywę Komisji. Komisja składa się z mądrych ludzi i wie, co robi. I musi tylko uniknąć zagrożenia, jakim jest biurokratyzacja, czyli pośpieszne konstruowanie sztywnych procedur. Lepiej mieć to mniej sformalizowane i być autentycznie akceptowanym niż formalizować i kłócić się ze środowiskiem o formalizmy: czy powinno być o 1 godzinę mniej, czy więcej? Mówić, że ocenimy sprawiedliwie i jeżeli jest świetnie, to tak powiemy, a jeżeli nie jest tak świetnie, to doradzimy. Ten model dominuje.

Czy w takim razie dobrze Pana Profesora zrozumiałam: kluczem do sukcesu jest Polska Komisja Akredytacyjna jako instytucja niezależna, merytoryczna i będąca faktycznie strażnikiem jakości kształcenia?

Tak jest. Inteligencja tej instytucji doprowadziła do sytuacji, w której PKA jest autentycznie akceptowalna. I tak trzymać.

Warszawa, 2022 r.

20 wywiadów
na
20-lecie PKA